ROZMAITOŚCI.

Dnia 9 stycznia, N.er 2. roku 1847.

ZŁOWROGIE PTAKI.

(Ciąg dalszy.)

Kiedy sternik z majtkami uraczali Murzynów otwartémi beczułkami rumu, kapitan Hobson rozmawiał z ich naczelnikiem, który siląc się na odpowiedź poskładaną z gminnych narzeczy angielskiéj, hiszpańskiéj i portugalskiéj mowy; najchciwiéj dopytywał się o to: czém okręt był naładowany? Odpowiedzi kapitana Hobsona zdawały się bardzo przypadać mu do smaku, gdyż rżał ze śmiéchu na całe gardło, skakał jak kozieł, i raz po razu wołał: „Dobrze! dobrze! wyśmienicie! Król Piotr, kontent! bardzo kontent!"

Trunek tymczasem zaczął swój zwyczajny skutek robić w głowach murzynów. Część ich znikła pod pokładem, a po kryjówkach słychać już było chrzęst łamanych zamków, rozbijanych pak i kufrów; drudzy tańcowali jakby złe duchy wokoło beczek, zaglądając co chwila do rumu. Kapitan Hobson zażądał stanowczo, aby mu naczelnik dozwolił wraz z towarzyszami wysiąść na brzég, czego mu też nie odmówił.

Na kilka chropowatych zgłosek, wyrzeczonych przez króla Piotra, rzucili się Murzyni przez burt okrętowy, i w oka mgnieniu przygotowali dwie łodzie na przyjęcie naszych podróżnych. Z ciężkiem sercem wstąpiła Ema w towarzystwie kapitana, sternika i pana Johna do jednéj z łodzi; do drugiéj wsiadła czeladź okrętowa.

Smutno spoglądała dziewica na przewodzącego łodziom Murzyna, przystrojonego w jéj atłasową mantylę; ale chcąc nie chcąc musiała się uśmiéchnąć na ubolewanie pana Johna, który jéj wskazywał drugiego, co na wysmarowane tłuszczem ciało swoje wdział frak jego galowy, frak w którym on w przylądkowém mieście, wszystkie damy zachwycał!

Łodzie zmierzały w ujście błotniste leniwo płynącéj rzéki.

Gęsto porastająca na brzegach wiklina, rozkrzewiając się aż w wodę, zasłaniała wszelki na obie strony widok. — Już około godziny płynęły pod wodę łodzie, i dopiéro przy nagłym skręcie rzéki, odsłoniła się równina, na któréj widać było dawno opuszczonéj portugalskiéj faktorii zwaliska, otoczone wielu ostrokręgowémi słomianémi budami. Na widok płynących łodzi, wyroiła się miejscowa ludność; najwięcéj kobiét na wpół, a dzieci całkiem nagich, biegło ku brzegom. Ale oko Emy i towarzyszy jéj zwróciło się z brzegu na środek rzéki, gdzie stał dobrze zbudowany i uzbrojony statek.

Wnosząc z jego budowy i czarnego pojedyńczego pokostu, byłto okręt hiszpański; a kiedy łodzie w bliskości koło niego przepływały, można było czytać napiś: »*El Leon-Habana*" — Kapitan Hobson przypatrywał się statkowi okiem doświadczonego marynarza, ale nie mówił ani słowa. Ema westchnąwszy głęboko przerwała milczenie: „Bogu dzięki, ile mi się zdaje, będziemy tu mogli w najgorszym razie liczyć na pomoc lub na obronę; wszakżeto statek europejski."

„Ach Bogu dzięki!" wyjąknął także John Smith uradowany. Kapitan Hobson zdawał się nie słyszéć ich mowy. »Dobrze użaglowany, i lekkiéj budowy, reje szérokie, jak w statku wojennym! Chyży to żeglarz!" mruczał sobie kapitan: „Jestto okręt kupczący niewolnikami" odpowiedział na pytający wzrok Emy. »Gdy ten psotnik rozpuści w świéżym wietrze żagle, dobrze zmęczy okręt królewski, nim go doścignąć zdoła. A w złym razie ma ostre zęby, może niémi krwawo ukąsić!" dodał wskazując na najeżone bateryje statku niewolniczego.

Kiedy całe towarzystwo wyszło na ląd, wystąpiło z czarnéj kupy niepostrzeżonych dotąd dwóch ludzi po europejsku ubranych. Jeden z nich miał kapelusz słomiany i ubiór nankinowy plantarzów. Mógł miéc około lat pięćdziesiąt, był Mulatem, a w rysach jego twarzy można było spostrzedz ostre i dzikie wejrzenie. Drugi zdawał się być Europejczykiem i może o dziesięć lat młodszym od piérwszego; jego postawa i ubiór był więcéj wojskowy, a jego wzrost smukły, jego ciemny kędzierzawy włos i śmiałe regularne rysy, składałyby przyjemną całość, gdyby w twarzy jego nie było świéżych śladów namiętności, a w spojrzeniu coś odpychającego.

»Czy pan jesteś kapitanem tego rozbitku, co tam na kotwicy stoi» zapytał Mulat z lekkiém kiwnięciem głowy, z założonémi w tył rękoma, i z cygarem w ustach, zepsutym angielskim akcentem. »Kiedy was wczoraj widziałem o zachodzie słońca tańczących około czarnego przylądku, zaraz pomyślałem sobie, że was tu morze po to zapędzi, ażebyście mi waszémi gratami popsuli targ u tych czarnoskórych hultajów. Szczęściem, że kupno nasze już zawarte, jutro już ma nadejść towar, a tak możecie zawsze z nami tu mieć schronienie, nim rozważycie co daléj macie przedsięwziąć.»

Drugi tymczasem rozmawiał ze sternikiem, a jak się zdawało, zapoznawał się bliżéj z stosunkami rozbitków.

»To szczęściem twojém kapitanie Hobson» — rzekł tenże „iż was przypadek tu zagnał w téj chwili, kiedy my jeszcze tu jesteśmy. Król Piotr nie bardzo słynie z gościnności i z obejścia się dobrego z rozbitkami; jakkolwiek» — tu zwrócił się z niejaką grzecznoscią do Emy — "na widok téj pani, starałby się może zachować należną przyzwoitość."

Kiedy całe towarzystwo szło ku faktorii, opowiadał tenże sam naszym znajomym, że jest kapitanem brygu „*Lew*", rodem z Hawru, Wilhelm Devereux; ów Mulat zaś zarządzcą ekonomicznym tegoż brygu, a nazywa się Miguel Placido.

Devereux z całą gotowością starał się o pomieszczenie rozbitków. Oddawna pustką stojące mieszkanie, wskazano im na tymczasowy użytek. Dla Emy zaś, którą się Devereux najbardziéj zdawał zajmować; wybrał najlepszą, albo raczéj jedynę izbę, i oświadczył zarazem, że jak długo będzie na tych afrykańskich brzegach przebywać, chce ją jako swojego uważać gościa, i o zaspokojenie wszelkich jéj potrzeb najusilniéj się starać. Mimo niewyjaśnionéj odrazy i wstrętu, jaki czuła w sobie na widok tego nieznajomego człowieka, i u którego nierada była zaciągnąć dług wdzięczności; musiała Ema przyjąć podaną, a niezbędnie dla niéj potrzebną pomoc; bo miałaż jéj żądać i przyjąć od téj czarnéj dziczy, a odrzucić tę, którą jéj z taką podawano gotowością? Zresztą widziała, jak mało dbano o jéj towarzyszy, którzy podobnież bez żadnéj zostawali pomocy. Kapitan Hobson targował właśnie maty na posłanie, a w braku stołów i stołków, umeblował chatę swoję tarcicami przybitémi do słupów, w ziemię zakopanych. Mulat spoglądał na to wszystko pogwizdując z zimną obojętnością i bez najmniejszego udziału. Devereux urządzał pokój Emy i znosił sprowadzone ze statku potrzebne ruchomości, i wtenczas dopiéro z zadowoleniem krzątać się poprzestał, gdy wszystko już urządzoném było.

Król Piotr wracał tymczasem z okrętu. Zdaleka słychać było głośne okrzyki, świadczące najlepiéj o stanie poddanych jego, wracających od wypróżnionych beczek z rumu. Sam król zdawał się być najtrzeźwiejszym między niémi.

Skinieniem, które oznaczało jakieś zamiary przeciw naczelnikowi czarnych, a na korzyść Emy, wezwał Devereux króla Piotra, kapitana Hobsona, Johna Smitha do przygotowanéj uczty.

Była zastawiona w dobrze urządzoném mieszkaniu handlarza niewolnikami, a jakkolwiek tylko wędzone udźce małpie i suszone na słońcu ryby, jedyną były zastawą; nie widać tam było braku w doborze trunków. Emma uważała że Devereux uwziął się na upojenie naczelnika, dolewając mu ciągle ogromne śklanki madery, które on jednę po drugiéj, duszkiem wychylał.

Nigdy jeszcze Ema nie widziała, żeby człowiek mógł tyle mocnych wypić trunków, ile ich ten Murzyn wypił, a jednak był przytomny, uradowany, i coraz to rzeźwiejszy. W końcu Devereux dał znak Mulatowi, a ten dotąd milczący, zaczął rozmowę o handlu niewolnikami.

»No, królu Piotrze! jakżeż będzie z resztą brakującego nam towaru. Jutro otrzymam od króla Bonny z drugiego brzegu dwieście sztuk hebanu, a jeżeli mi nic nie spuścicie z żądanéj ceny, to i trzecią setkę ztamtąd wezmę.»

»Masz pani wiedzieć» rzekł Devereux do Emy obok siedzącéj »że pewna ilość sztuk hebanu, znaczy taką samę ilość niewolników.»—

»Nic wam spuścić nie mogę. Warci oni wiele pieniędzy» — odparł naczelnik Murzynów, wychyliwszy jednym tchem śklankę wina.

»Wszakże i nasz towar wart wiele pieniędzy» ozwał się Placido.

»Waszego mi nie potrzeba! jest tam okręt i towaru dosyć» — odparł żywo król Piotr.

„Nie mówiłżem» rzekł Mulat z żółcią, po francuzku do Hobsona — „że nam tylko targ zepsujecie. Ale strzelb tam niéma» — zagadnął króla Piotra. »Śliczne, bardzo doskonałe strzelbki, które niosą kule o tysiąc kroków, a każda trafia do celu. Wczoraj byłbym wam nie dał jednéj za dwóch niewolników, dziś dam po jednéj za każdego.»

»Dajcie dwie za jednego» — rzekł Murzyn.

„Cóż wy sobie myślicie, wszakże ja i tak już tracę.»

»Dajcie siedmdziesiąt strzelb za pięćdziesiąt głów» — rzekł król Piotr.

„Sztuka za sztukę, ani jednéj skałki od kurka więcéj» — odparł Placido.

»Poczekajcie, ja wam do targu pomogę» — przerwał Devereux. »Weźmiecie za pięćdziesiąt głów sześćdziesiąt strzelb. — Czy dobrze?... Więc rzecz skończona — ale jeszcze jedno. Nie myślcie, że się darmo w tę rzecz wmieszałem, królu Piotrze.— Zro-

biliście dobre kupno, zróbcie i dla mnie przysługę, oddajcie téj pani cały jéj ładunek.»

Po krótkim namyśle przemówił król Piotr. „Niech go zabierze, byle tam złota nie było.”

»Niéma nic prócz kilka sukien» — odparł Devereux. Ema ucieszyła się tém wyjednaniem Devereux'go, który jeszcze jéj przyrzekł, powagą króla odzyskać porabowane już rzeczy. W tém zadowoleniu zwierzyła Ema w dalszéj z sąsiadem rozmowie całą przeszłość swoję, niemniéj i powód podróży do przylądku *Coast*, a w końcu nazwała po imieniu swojego narzeczonego.

»Karol Rodgers? ten sam co korwetą „*Orzeł*” dowodzi?”— przerwał nagle Devereux. »Na próżnobyś go pani na przylądku „*Coast*” szukała. W ten sam dzień, kiedy opuszczałem Hawannę, zawinął tam »*Orzeł*” do portu.»

„Czy to być może!» — zawołała Ema. »O nieba, cóż ja teraz pocznę? Ale może się pan mylisz?”

„O, nie” — rzekł Devereux z upewnieniem — »wszakże znam go dobrze.»

„Jakto, pan go znasz?” — zawołała Ema ciekawie.

„Tak jest” potwierdził Devereux. „Właśnie wysiadł na ląd w celu udania się do gubernatora, kiedy ja wchodziłem na pokład mojego okrętu. Smukły, młody, brunet, z blizną na lewym policzku.” —

»Ach to on! tę bliznę otrzymał w Indyjach. Tak, jegoto pan zdybałeś” — przerwała Ema.

„Ale dla Boga, gdzież ja się mam udać? Czy z pierwszą sposobnością płynąć do portugalskich posiadłości w Bengalii, a ztamtąd do przylądku *Coast*, czy wracać nazad do przylądku „Dobréj nadziei.”...

»Jedno i drugie bardzo trudne do uskutecznienia. Za dwa miesiące nastaje czas dżdżysty i morderczych gorączek, którym ulega każdy Europejczyk. Jak długo to potrwa, nie możesz się pani spodziéwać przybycia jakiego okrętu. Musiałabyś więc najmniéj sześć miesięcy tu czekać.»

»Sześć miesięcy!» — zawołała Ema. »Okropnie! tu, między tymi dzikimi ludźmi, sześć miesięcy!”

»Nie mniemam, żebyś pani miała być narażoną na jakie niebezpieczeństwo; przecieżby potrzeba odpowiedzialności naczelnika Murzynów. Ale muszę pani wyznać szczérze, że jeżeli przymuszoną będziesz wraz z swoimi towarzyszami tu, w téj niegodziwéj porze roku pozostać, nikt z was nie do sześciu miesięcy, ale do sześciu tygodni, nie ujdzie śmierci. Żadna europejska konstytucyja nie wytrzyma tego zgubnego klimatu. Pani musisz to wybrzeże jak najrychléj opuścić. Ile razy zmuszony byłem dwa lub trzy tygodnie stać na téj przeklętéj rzece, zawsze znaczną stratę w ludziach miałem.»

»Najchętniejbym to uczyniła, ale jakim sposobem?” — rzekła Ema.

„Ja znam jeden, ale nie wiém, czy pani przystaniesz” — odpowiedział Devereux.

»Ach na wszystko! na wszystko! Alboż mi jaki wybór pozostaje!» — zawołała dziewica.

„Dobrze więc. Jedź pani zemną. Za kilka dni płynę wprost do Kuby.»

Ema tym wnioskiem uderzona, prawie zadrżała z przestrachu.

„Ach! domyślam się” — rzekł z uśmiéchem Devereux, spostrzegłszy pomieszanie dziewicy. »Zapomniałem o tym pięknym obrazie, który pani zapewne skréślono o człowieku kupczącym niewolnikami. Tak, tak» — dodał szyderczo — » Ci handlarze mięsem ludzkiém, sąto czarty w postaci ludzkiéj, którzy Murzynom zadają wszelkiego rodzaju katusze, dręczą ich srogim głodem, niedostatkiem, i Bóg tam wié, co jeszcze więcéj o nich poezyjni filantropowie lub filantropijni poeci opowiadają! Jednakże mogę panią zapewnić, iż nikt nie jest tak głupim, aby złém obejściem się z Murzynami, sam sobie szkodę czynił; aby zamiast zarobku, chciał tracić na nich.»

„Bydź to może, iż w tych opowiadaniach jest cośkolwiek przesady” — ozwała się Ema, po niejakiej chwili milczenia.

»Gdyby tylko cośkolwiek, toby jeszcze dobrze było, ale ręczę pani, że dziewięć dziesiątych części tych bajek, utworzyli ludzie, którzy ani krokiem nie wychylili się z Paryża lub Londynu” — odrzekł Devereux żywo. „Ci ludzie mówią o tém, jak ślepy o okularach, lecz rzecz ma się tak: Czy mają być kolonije, czy być nie mają? Jeżeli mają być, muszą więc miéć Murzynów, bo biali nie mogą w tym gorącym klimacie pracować. Każde sił natężenie, zabija ich. Murzynowi zaś lepiéj być niewolnikiem w kolonii, niż wolnym w swojéj ojczyźnie. Bo czyż on w niéj jest wolny? Patrz pani na tego króla Piotra! Skoro ujrzy banderę okrętu kupczącego niewolnikami, szaleje z radości, i zaraz się wyprawia do sąsiednich pokoleń po niewolników, i łowi ich tam przemocą, ile ich potrzebuje; a braknie mu coś do liczby, to ją własnémi poddanémi uzupełnia. A co do obejścia się! Spojrzyj pani na te człowiecze źwiérzęta! Wejdź do ich szałaszy; ujrzysz tam brud, głód i nędzę! Wejdźże pani do chaty niewolnika w kolonii. Zastaniesz tam ludzi wesołych, niegłodnych i dobrze ubranych. Każdy pilny i pracowity może się w ciągu lat dziesięciu wykupić, a w ciągu dwudziestu, stać się zamożnym. Porównajże pani teraz z niewolnikami w kolonii, rzemieślników i górników w Anglii, Francyi i Belgii; na którąż stronę, korzyść wypadnie?»

»Ależto obejście się z niémi na okrętach” — zarzuciła Ema.

»Murzyn jak dziecko, a raczéj jak źwiérzę, nie widząc nigdy morza, boi go się nadzwyczajnie; ci

zaś co morze widzieli, truchleją z mniemania, że ich biali jeść będą. Jak długo nie przekona się ich, i nie wyprowadzi z tego przywidzenia; nie podpada wątpliwości, że ich koniecznie więzić i krępować potrzeba; inaczéj narażałoby się całą osadę okrętową na największe niebezpieczeństwo, a nawet byłoby niepodobieństwem statkiem kierować.”

»Co mi pan o obejściu się z Murzynami powiadasz, może być po większéj części prawdą” ...

„Nie tylko po większéj części, ale całą prawdą! Tak w kolonijach jak i na okrętach! Któżby działał na własną niekorzyść, a już przez to samo jest dobre obejście się z niewolnikiem uwarunkowane. Sambym siebie szalonym nazwał, gdybym Murzyna, którego, gdy zdrowym i silnym do Hawanny zawiozę, za 500 do 800 piastrów sprzedam, biciem i głodem w kościotrupa zamienił, a potém za połowę téj ceny sprzedać go musiał.”

„Ależ to ciasne zamknięcie pod pokładem?” — zarzuciła Ema.

»Wejdźno pani do któréjkolwiek z tych lepianek Murzynów, a potém powiesz mi, jaka jest różnica co do przestrzeni i powietrza między tém mieszkaniem, a dołem okrętu, przeznaczonym dla niewolników” — zawołał Devereux z uśmiéchem. „Tam, gdziebyś pani jednéj chwili wytrwać nie mogła, tam właśnie Murzyni oddéchają jakby w swoim żywiole.”

„Przypuśćmy, że Murzyni po okrętach i kolonijach nie są dręczeni i bici dowolnie i z namysłem, przypuśćmy, że cokolwiek pan przytoczyłeś na poparcie handlu niewolnikami, jest niezaprzeczoną prawdą; przyznasz jednak, że oburzająco jest pomyślić: ludźmi jak bydłem za pieniądze i towary handlować, rwać wszelkie rodzinne związki i najnieszczęśliwszych wlec za morza i lądy! — Gdyby ten handel ustał, ustałyby owe okrucieństwa domowéj wojny w Afryce, a z niémi i owe niewolnictwo.”

„To wypada mi zupełnie zaprzeczyć, moja piękna orędowniczko Murzynów. Niewolnictwo w Afryce istnieje od niepamiętnych czasów. Jest ono w prowincyjach najodleglejszych od nadbrzeża, zkąd rzadko lub nigdy nie przyprowadzają niewolników na sprzedaż. A właśnie tam najkrwawsze bywają wojny, a oświata i obyczajowość na najniższym stopniu. Jeńcy, których nie zabito, albo po najsroższych katuszach fetyszowi na krwawą ofiarę nie oddano; cierpią jako niewolnicy, najokropniejsze męki. Najdrobniejsze powody są dostateczne, aby ich zabijać lub kaleczyć; dla czego? bo nie mają tam żadnéj wartości. Gdyby ich mogli sprzedać, nie pomyśleliby nawet o tych katuszach, jakie im zadają. Zresztą o tém, co tu mówię, przekonasz się pani sama za dni kilka. Między niewolnikami, których tu przyprowadzają, są najczęściéj niezdatni dla nas, których my zmuszeni jesteśmy nieprzyjmować dla drogiego miejsca w okręcie. Przypatrzysz się pani temu handlowi. Jak długo król Piotr, za takiego wybrakowanego, spodziéwa się jeszcze dostać choćby łokieć sukna, sznurek śklannych pereł, lub starą lufkę od strzelby; tak długo czuwa nad nim, żeby mu i włos z głowy nie spadł; ale skoro pan Placido, któremu na tém wiele zależy, nie chce go żadną miarą przyjąć; wtenczas król Piotr chcąc się pozbyć niepotrzebnego żarłoka, każe mu bez wahania się w łeb wypalić.”

Ema wzdrygnęła się, i zamilkła.

„A więc tylko nadzieja zysku trzyma na wodzy te okrucieństwa?” — zarzuciła po chwili.

»Nie inaczéj; ale ani na włosek inaczéj tu, jak i wszędzie na całym świecie. Tak tu, jak w Londynie i Paryżu, osobiste bezpieczeństwo zawarowane tylko interesem każdego pojedyńczego. Gdyby ten ustał, więdby czy tam, czy tu, a nwet w najgłębszym Sudanie, napadł jeden drugiego, jak trzoda wilków, i skończyłoby się na wzajemném pożarciu. Wiém ja o tém, moja piękna pani, że ci się to zbyteczną przesadą być wydaje, ale ja znam dobrze te ułomności rodzaju ludzkiego, które pięknémi słówkami, lśnącym pokostem ludzkości i cywilizacyi, są pokryte, jednakże nie potrzeba na to zbyt przenikliwego wzroku, aby widzieć, iż cały ten strój blichtrowy, osobistym interesem jest podszyty!„

Głos z jakim p. Devereux ostatnich słów domawiał, nabiérał z każdym wyrazem nowéj cierpkości. Dziewica pomyślała, iż do utworzenia w sobie podobnego zdania, potrzeba było przejść szereg różnych smutnych kolei życia, a to obudzało w niéj niejakie współczucie dla niego. Przyczyniła się do tego jeszcze i ta okoliczność, że umysłowém wykształceniem prześcigał wszystkich obecnych Hobson byłto śmiały marynarz, ale człowiek tak skąpy w udzielaniu się, tak cichy, jakby go w towarzystwie nie było. Sternik i Placido, bylito ludzie bez najmniejszéj ogłady, i każdy z nich w swoim rodzaju prostakiem. Pan John Smith, nadzwyczajnie dobroduszny, zwidziwszy wprawdzie wiele świata, byłby mógł swojém opowiadaniem towarzystwo zająć; ale przy swoim płytkim umyśle, tak znudził Emę, iż ta najchętniéj się od rozmowy z nim uchylała.

Kiedy więc król Piotr, Placido, i kupiec John Smith, o handlu rozmawiali, Hobson i sternik dumali o smutném swém położeniu; Emie nie pozostawało nic innego, jak tylko daléj ciągnąć wszczętą rozmowę, témbardziéj iż takowa coraz to więcéj zajmować się ją zdawała. Devereux zwidził większą część Europy, najznaczniejsze miejsca Afryki i Ameryki, a co widział, umiał w zajmujący sposób opowiedzieć. Zapewne, że we wszystkiém co opowiadał, była widoczna obojętność, nienawiść i pogarda ludzi; ale Ema kładła to na

karb jego smutnego zatrudnienia, wywodziła z otaczających go okoliczności, które musiały przytępić uczucia jego, oraz czuła mu się być obowiązaną za ten udział, który jéj okazywał. Przy nowo wszczętéj rozmowie, zwracał Devereux często na owe oświadczenie zabrania Emę na swój okręt, płynący do Hawanny.

„Nie dziwi mnie to bynajmniéj, że pani się wzdrygasz na samę myśl podróżowania statkiem niewolniczym, kiedy się tyle od dzieciństwa o tym handlu i o tych okrętach nasłuchałaś. Zresztą zostaje pani kilka dni namysłu, co masz wybrać, czy niezupełnie przyjemną podróż kilko-tygodniową, czy najmniéj sześciomiesięczny pobyt w tym zabójczym klimacie i między témi zwierzętami. Czy pani może liczysz na pomoc Hobsona i towarzyszy jego? Wkrótce ich pani widzić będziesz bez najmniejszego dla siebie samych ratunku, chorych albo zmarłych, a natenczas jeżeli pani nie ulegniesz wraz z nimi klimatowi, zostaniesz sama jedna na tém wybrzeżu. Cokolwiek pani tu przedstawiam, mówię jako przyjaciel, bo cóżby mnie mogło powodować do namowy, abyś pani chwyciła się podanéj ci sposobności, prócz téj przyjemności, jakąbym miał w jéj towarzystwie na okręcie, gdzie niéma jednéj ukształconéj istoty, z którąby można pomówić? Jeżeli w tym względzie jestem egoistą, taki egoizm godzien przebaczenia. Niech się pani nie lęka owych okrucieństw, o jakich dziennikarze w swojéj niewiadomości niedorzecznie bają. To, co mogę Murzynom uczynić bez narażenia załogi okrętowéj na niebezpieczeństwo, pewnie nie zaniedbam, rozumie się w miarę, o ile to uczynić mogę. W żywność jestem dobrze zaopatrzony, a okręt mój szybko płynie. Moim własnym interesem jest jak najspieszniéj i w zdrowym stanie zawieźć Murzynów do Kuby."

„A jeżeli pan zdybiesz krążący statek królewski, i przyjdzie do walki?" — zapytała Emma.

„Gdybym cię chciał piękna pani moją walecznością ująć"— odparł Devereux z uśmiéchem — »prawiłbym ci o moich dwunastu działach, ale że o tém nie myślę, powiém ci więc szczérze i otwarcie, że bez koniecznéj potrzeby, i jak długo tylko choćby najmniejszy powiew wiatru w moje żagle dąć będzie, ani ziarneczka prochu nie spalę. Nie pochwalam ja tych okrętowych dowódzców, którzy wolą raczéj kazać Murzynów pod pokładem pozabijać, niżby się starali przemyślnym podstępem i szybkością żagli przed strzałami krążącego statku, wywinąć się. Zresztą, długi czas byłem w Hawannie, znam prócz jednego, wszystkie wojenne statki, które na nas w tamtych wodach i przy tych wybrzeżach czatują. Mój „*Lew*", prócz jednego, wszystkie je swoją szybkością prześcignie. Gdybym jednakże w najniepomyślniejszym, ale i najmniéj podobnym razie, na ów statek trafił; umiałbym użyć takiego wykrętu, którýby mnie niezawodnie z kłopotu wybawił. Słowem, mogę pani zapewnić niebardzo wprawdzie przyjemną, bo na statku kupczącym niewolnikami, ale zawsze dość znośną podróż do Hawanny. Zresztą, namyśl się pani dobrze, co masz przedsięwziąć. Bolesnoby to dla mnie było, gdybym tu za rok przypłynąwszy, ujrzał obok grobów towarzyszy twoich, razem i twój grób, pani!"

Zaledwie Devereux ostatnich słów domówił, wstano od stołu; a gdy się towarzystwo już rozejść miało, obrócił się jeszcze do Emy i rzekł:

»Oto przyszło mi właśnie na myśl, iż komnata pani jest bardzo odległą, i zbywa pani na usłudzę. Przyszlę jéj Murzynkę, którę przeszłego roku tutaj kupiłem, a która teraz na okręcie posługuje. Może ona zostać przy pani, dopokąd razem bawić będziemy, a jeźli z nami odpłyniesz, wtedy będziesz ją miała i nadal do usługi."

Słowa te wyrzekł Devereux tak szczérze i naturalnie, nie przywiązując najmniejszéj wagi do swéj grzeczności, — która jednakże w obecnych okolicznościach nadzwyczajnie wielką cenę dla Emy miała,— iż bez oczekiwania nawet jéj podzięki, wziął kapelusz, i zlekka ukłoniwszy się, wyszedł z izby. Ta chwila rozstrzygnęła prawie zupełnie powątpiewania Emy: czy się ma powierzyć okrętowi murzyńskiemu, alboli nie. Kto w chęci przysłużenia się komuś drugiemu, własnéj pozbawia się usługi, a przytém najmniejszego prawa do wdzięczności sobie nie rości; o tym byłoby niesprawiedliwością sądzić, iż większéj przysługi z takąż samą bezinteresownością, wyświadczyć nie jest zdolen. To powtarzała sobie Ema ustawicznie; a tak dojrzał w niéj zamiar odpłynienia z Devereux'm, gdyby samo urządzenie okrętu niewolniczego nie wydało się jéj zbyt odstraszającém i przykrém.

Wkrótce nadeszła Murzynka, o któréj Devereux wspomniał. Byłato przystojna kobiéta około lat trzydziestu, o rysach twarzy znamionujących rozsądek, wyrażająca się łamaną angielszczyzną. Na uprzejme zapytanie Emy oświadczyła, iż się nazywa Mehana, jest żoną naczelnika murzyńskiego z głębi kraju, i że przed dwoma laty przez wojowników króla Piotra w niewolą wziętą została. Gdy Ema nadmieniła, iż kapitan zapewne łaskawie z nią się obchodzi; uśmiéchnęła się Murzynka ozięble, a zapytana, czy jéj mąż jeszcze żyje i czy ma ona dzieci? — odpowiedziała: iż męża jéj nie było natenczas w domu, gdy ją schwytano, a zatém nie wié, co się z nim dzieje; dzieci zaś zginęły w jéj oczach, zamordowane przez nieprzyjaciół. Obojętność, z jaką o tym okropnym wypadku mówiła, zdawała się usprawiedliwiać poniekąd twierdzenie kapitana iż Murzyni są dziećmi, albo raczéj zwierzętami.

Dwa następne dnie minęły jak poprzednie. Deve-

reux okazywał się dla Emy pełnym udziału, nie będąc jednakże bynajmniéj natrętnym, i ani wspominał nawet o zamierzonéj podróży. Kapitan Hobson, sternik i majtkowie przysposabiali się do dłuższego pobytu; tylko pan John Smith był niepocieszonym. Żalił się nieustannie i narzekał, a widząc brudnych Murzynów paradujących w jego frakach i wytwornych kamizelkach aksamitnych, które, jak nigdy dodać nie omieszkał, tyle a tyle funtów go kosztowały; o mało od zmysłów nie odchodził. Smutne widoki dłuższego bawienia w tym, jak się wyrażał, przeklętym, źwierzęcym kraju, dokąd jedynie szatańska mściwość kurek matki *Carey*, okręt zagnała; przywodziły go do rozpaczy, a usłyszawszy od Emy w sekrecie, iż ona dla uniknienia zabójczego stron tych klimatu, prawdopodobnie na okręcie niewolniczym do Kuby odpłynie; zaklinał ją biédny pan Smith na klęczkach, aby nakłoniła kapitana do zabrania go z sobą.

W ten sam sposób upłynęło jeszcze dni kilka, a jakkolwiek nieprzyjemnym pobyt na wybrzeżu afrykańskiém dla Emy się wydawał; musiała ona przecież wyznać, iż był on daleko znośniejszym, niż sama spodziéwać się mogła. Jednego razu nadeszła wiadomość o przybyciu przyrzeczonych przez króla Piotra niewolników, a wszystko wybiegło z chat, aby się im przypatrzyć. Również i Ema z swoją służącą pospieszyły na miejsce, gdzie niewolnicy stanęli. Byłto długi, smutny szereg. Kobiéty stały nie spętane; mężczyźni zaś mieli szyję wciśniętą pomiędzy zęby ciężkich drewnianych wideł, których długie, około czterołokciowe trzono spoczywało na ramieniu poprzednika, a zęby, obejmujące szyję, zamocowane były drewnianym ryglem, nie dozwalającym głowę wysunąć. Tak, każdy poprzedni Murzyn dźwigał widły swego tylnego towarzysza, przezco lubo wszyscy razem zpętani nie byli, żaden przecież od drugiego oddalić się i szeregu rozerwać nie mógł, nie chcąc, aby ciężar wideł do ziemi go nie przygniótł, a przynajmniéj, daléj iść mu nie wzbronił.

Gdy się niewolnicy zatrzymali, przewodnik ich, niosący trzono wideł pierwszego Murzyna, zdjął zeń to jarzmo, zatknął je w ziemi, i widła drugiego na nie złożył. Tak został pierwszy oswobodzonym, podczas gdy resztę jeszcze spętani stali. Poczém przystąpił sennor Placido do oswobodzonego Afrykanina, zajrzał mu znawczém okiem w usta i oczy, kazał mu członki przeciągnąć, przejść się, wreszcie przez kij przeskoczyć, a w końcu wyrzekł poważnie: *Bueno!*", zapisał coś w pularesie, kazał mu okowy na szyję i na ręce założyć, i do pobliskiéj łodzi odprowadzić. Król Piotr, przypatrujący się temu z strzelbą w ręku, wyszczerzył zęby z upodobania.

Taż sama scena powtarzała się z każdym niewolnikiem z kolei. Służąca Emy, Mahena, patrzyła na to z największą obojętnością gryząc spokojnie kawał sucharu okrętowego. Nagle wskrzyknęła przeraźliwie, i pobiegła do Murzyna, z którego właśnie widła zdjęto. Byłto ogromny, czarny jak węgiel Murzyn, niesłychanego wzrostu i okropnie dzikiego wyrazu twarzy. Ujrzawszy Mahenę, wydał także krzyk gwałtowny, i chwycił ją w ramiona.

»Licho sobie nadało!"— ozwał się Placido do kapitana Devereux, który do Emy się był zbliżył. „To jéj mąż, a baba przezto przynajmniéj o 30, albo może i 50 piastrów w cenie spadnie, ponieważ oboje nieustannie dręczyć nas będą, aby ich osobno nie sprzedawać. Ten drągal zaś, chociaż silny jak dąb, będzie trudnym do zbycia, gdyż ma szpiczaste jak szakal zęby, a tacy bywają zwykle złośliwi i zacięci."

„Weź go, weź!"— odpowiedział Devereux, zdmuchując obojętnie dym z cygara. »Ma koście jak u słonia; już my go spieniężymy. Gdy się raz zobaczyli, a ty ich rozłączysz, to się baba jeszcze powiesi, albo utopi, a tak na każdy wypadek musisz miéć stratę."

Na to wyrzekł Placido stanowcze „*Bueno*", włożono łańcuszki na Murzyna, zagnano go do łodzi, a Mahena, przed chwilą tak namiętnie wzruszona, wróciła ku zdziwieniu Emy spokojnie na swoje dawne miejsce, jak gdyby nic nie zaszło, i gryzła oziębłe resztki sucharu.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego.* — Własność i nakład Piotra Pillera wyszedł nr. 1szy i zawiéra: 1) Wincentego Pola rzut oka na Galicyję (z kartą téjże). 2) Przegląd dzieła: Chemija rolnicza z przedmową K. G. pod tegoż kierunkiem, sposobem popularnym wyłożona przez Wł. G. 3) Czy słusznie rolnictwo nazywamy główną gałęzią gospodarstwa wiejskiego? 4) Rzecz krótka o gospodarstwie krajowém. (Podług M'Cullocha). 5) Jaki rachunek powinien utrzymywać gospoparz wiejski? 6) Słówko Józefa Żywickiego: o nowym pospieszuym metodzie rafinowania surowcu cukrowego. 7) Wiadomości handlowe.

Mozaika pomysłów. Głowa jestto najwyższy szczebel człowieka, a przecież on często jeszcze wyżéj ją podnosi. Głowa jestto wyższa izba angielska; tam jako rajcy i ministrowie zasiadają myśli; oczy sąto straże; usta rzeczniki, które przedkładają i bronią. Niekiedy jednakże serce, jako izba niższa, odnosi zwycięztwo. — Dzień nowego roku jestto most prowadzący od dnia urodzin do dnia skonania; na ten z mnogich ogniw składający się most łańcuchowy, wstępuje się wesołym, pełnym nadziei młodzieńcem, a zchodzi pochylonym na duchu i ciele starcem; życiem, opłacamy »mostowe!« — — — Czem się różnią nowe komedyje od dawnych? W dawnych są żarty nowe, a w nowych stare.

Anegdota dyplomatyczna. W wrześniu roku 1681, kazał Louvois, minister Ludwika XIVgo, wezwać do siebie pana Herarda Chamilly, syna jenerała tegoż nazwiska, i rzekł do niego: »Wiém ja, panie Chamilly, iż dzisiejszego wieczora masz potajemnie, przeciw woli swojego wuja, poślubić młodą, ubogą dziewczynę. Mogłbym cię wsadzić do bastyli, ponieważ oszukujesz swojego opiekuna; wszelako rozmyślałem tę rzecz inaczéj, i chcę ci owszem nastręczyć środki do przebłagania mnie i wuja. Wsiądź natychmiast do zamkniętego powozu, nie wyglądaj z niego, i ani słowa z nikim nie mów. Dopiero gdy powóz się zatrzyma, rozpieczętuj tę depeszę. Oto jest ubiór chłopski, który przywdziejesz. Daję ci pięć minut czasu do namysłu. Do widzenia.« — Po trzech dniach drogi, stanął tajemniczy powóz pocztowy u bram miasta Bazylei, a Chammilly rozpieczętował depeszę, zawiérającą tylko następne słowa: »Idź pan na most na Renie, zostań tam od dziewiątéj godziny z rana, do trzeciéj po południu, i spisz dokładnie wszystko co tam ujrzysz; poczém wracaj natychmiast do Paryża.« — Młody Chamilly dopełnia tego szczególnego rozkazu, i skoro oznaczona godzina uderzyła, wsiada do powozu, i przybywa nazajutrz o północy do Paryża. Ledwie go u ministra oznajmiono, wybiega pan Louvois, i pyta niecierpliwie: »Cożeś pan widział?« — »Oto opis wszystkiego; lecz muszę się obawiać, iż wasza ekscelencyja uznasz go niegodnym swojéj uwagi.« — »Daj go tylko.« — »Prawdziwie, lękam się, są to tak dziecinne drobnostki«... »Nic nie szkodzi, czytaj pan, czytaj!« — Chamilly, wstydząc się drobiazgowości swego opisu, zaczął nieśmiało: »O dziewiątéj zrana: Widzę na moście jednookiego osła, którego mały chłopiec prowadzi; potém opasłego Niemca, który w Ren spluwa; potém Bazylejskiego mieszczanina w pstrokatym stroju; potém chłopa w żółtéj kamizeli, który przed poręczem mostowém staje, i trzy razy laską o nie uderza...« — »Chłopa w żółtéj kamizelce!« — zawołał minister. »Dość na tém! Sam król musi o tém wiedzieć. Idę natychmiast obudzić go!« — Poczém wybiegł pan Louvois czémprędzéj, a młody Chamilly pomyślał sobie: »Nie ma wątpienia; minister albo oszalał, albo drwi sobie ze mnie.« — W kwadrans później wracał pan Louvois uradowany, i rzekł z największą, na jaką się mógł zdobyć, uprzejmością: »Wyświadczyłeś pan królowi wielką przysługę. Jego królmość obdarza cię pułkiem, i sam intercyzę twoję podpisze.« — Dopiero w tydzień dowiedział się Chamilly o znaczeniu swego opisu. Za jego pomocą powzięto wiadomość, iż Sztrasburg, który przez wojska francuzkie był oblężonym, poddał się, i do Francyi wcielonym został. Owe trzy uderzenia o poręcze mostu, były oznajmieniem pomyślnego skutku tajemnych układów, jakie minister wojny z magistratem miasta Sztrasburga rozpoczął.

Z najnowszego dzieła księcia Pückler-Muskau. Dzieło to, pod nazwą »Powrót« opisuje ostatnie czasy pobytu księcia w Egipcie, i pełne jest najciekawszych miejscowych obrazów. I tak jednego razu spotkał książę w drodze do Dżebel-Barkal osobliwszy orszak podróżny. Składał on się z sześciorga ludzi, którzy opasani nadętémi pęcherzami, płynęli środkiem Nilu, czyli raczéj dawali się wodzie unosić, kiedyś niekiedyś tylko ręką lub nogą się popychając. W ten sposób podróżują tam ludzie po całych dniach, jakbyto syreny mitologijne, a czasem jeszcze jakiś węzełek na głowie niosą. W kilka dni późniéj zdybał książę podobne, a może jeszcze dziwaczniejsze zjawisko, które jego własnémi słowy opiszemy. »W wydrążonéj kłodzie dużego drzewa, siedziało czworo ludzi, trzy kobiet w środku, a mężczyzna na przedzie, opierający nogi o grzbiet rączego konia, który przyprzężony powrozami do lekkiéj łodzi, ciągnął ją w poprzek rzeki, mającéj przynajmniéj ćwierć mili szerokości.. Woźnica zażywał konia cuglem i biczem, jakby na lądzie. Z tyłu był jeszcze przywiązany wielbląd, dźwigający namiot zwinięty; a prócz tego, jeszcze cztéry albo pięć osób z rodziny, płynęło na wzdętych pęcherzach po obu stronach łodzi. — Obok tego obrazu z życia gminnego, czytamy następny szkic obyczajów wielkiego świata tureckiego. Książę Pückler zaprosił jednego razu dwóch znakomitych urzędników egipskich na świéżo otrzymany transport wina szampańskiego. Jeden z gości nie chciał się żadną miarą dać nakłonić do picia. Książę przypisywał to religijnym skrupułom Muzułmanina, aż ten wreszcie wcale inaczéj rzecz mu wyjaśnił. »Pijałem niegdyś często i wiele wina« — rzekł Turek — »i wróciłem pewnego wieczora w stanie zupełnego upojenia do domu. Zaprowadzono mię do haremu, gdzie hałaśliwy swar między niewolnicami wszczął się o to, która mię ma doglądać. Ocucony hałasem, dobywam szabli, i tnę bez opamiętania pomiędzy niewiasty, które z przerażeniem się rozpierzchły, podczas gdy ja bez przytomności na dywan padam, i na całą noc zasypiam. Przebudziwszy się z rana, dowiaduję się, iż mojéj ulubionéj niewolnicy, która około 20.000 piastrów mię kosztowała, żyłę pulsową u szyi przeciąłem, poczém ona w przeciągu kilku minut umarła. Wkrótce się to rozgłosiło, a chociaż przypadkowa śmierć niewolnicy nie jest rzeczą zbyt wielkiéj wagi, przecież wstydziłem się mego opilstwa, i żałowałem tak mocno straty tyla pieniędzy, iż postanowiłem raz na zawsze pobudki do podobnego nieszczęścia uniknąć. Odtąd ani kropla wina przez usta moje nie przeszła.»

Gaza, najlekksza z wszystkich lekkich materyi, otrzymała swoję nazwę od miasta tegoż imienia, leżącego w pobliżu owéj sławnéj w piśmie św. Joppy, zkąd odpłynął prorok Jonasz w tę podróż, w któréj go wieloryb połknął, aby go po trzech dniach, jako niestrawny pokarm, na wybrzeża czarnego morza z siebie wyrzucił. Owoż jadąc na południe od pomienionego miasta, przybywa się do Gazy. Damy, obeznane z wojnami, jakie w różnych czasach około St. Jean d'Acre się toczyły, niech tylko przypną swoją fantazyję do kuli działowéj lecącéj z Acre ku południowi; a spadną wraz z kulą u miejsca pierwotnego wyrobu swéj delikatnej tkanki. Tak więc piękne córy miasta Gaza były pierwszémi, które gazę nosiły. Myślący badacz dziejów staje zadumany na rodzinném miejscu téj pajęczéj materyi, i wplata wysnutą z niéj niteczkę w osnowę swego dzieła, będąc przekonanym, iż starożytne miasto Gaza, lubo jego gruzy dawno już na wszystkie cztéry wiatry rozwiane, przecież tak długo w żywéj pamięci naszych pięknych pań pozostanie, aż pokąd gazę będą nosiły.

Dwie nowości. Pewien znajomy, wracający świéżo z Londynu i Paryża, udzielił nam następujących dwóch nowin: Piérwsza dotyczé mody paryzkiéj, która ostatniemi czasy bardzo stosowny strój zimowy wynalazła. Jestto ów średniowiekowy płaszczyk, który na obrazach dawnych rycerzy i znakomitych osób, tak malowniczo się przedstawia, i jeszcze przed stu pięćdziesięcią laty gdzieniegdzie był w używaniu. Aż do téj pory jest w Paryżu zwyczaj nosić w dniach niepewnéj pogody drugi surdut na ramieniu, aby go

przywdziać w razie potrzeby. Teraz uznano ten zwyczaj śmiesznym, zniewieściałym, i wzięto się powszechnie do wspomnianych płaszczyków, które wiszą na sznurze wokoło szyi, i mogą być poza plecy zarzucone i tam w fałdy ściągnięte, przezco bynajmniéj nie zawadzają, a dostateczną od słoty i zimna są ochroną. — Druga nowina pochodzi z Londynu i należy do najokropniejszych »mysteryjów« naszego czasu! Jestto straszliwe przedsiębiorstwo, wywołane myślą nadzwyczajnéj mnogości samobójstw, wydarzających się w Londynie, a często bez pożądanego skutku, aczkolwiek wśród najsroższych męczarni. Otoż — zapewne już się nasi czytelnicy domyslają, co ma być celem tego zakładu, i że takowy ze strony zwierzchności, chociaż podług wszelkich formalności do potwierdzenia przedłożony; upoważnienia nie pozyskał. Zamierzano w istocie podać publiczności sposób dogodnego odbiérania sobie życia, a ogłoszony w téj mierze program, wylicza z prawdziwie kupiecką rachubą, wszystkie dowolne rodzaje samobójstwa — wymysł zaiste czartosko-jenijalny, opętańczo-szalony, tylko w tym mglistym kraju dziwactw wykluć się mogący. Przedsiębiorca nazywa swój zamierzony zakład: zakładem dobroczynności; rości sobie prawo do powszechnego zaszczytnego uznania, i wzywa całą publiczność do łaskawego spółudziału!

Papiér z drzewa. Z listu z Berlina.... »Coraz większy niedostatek szmat do robienia papiéru zniewalał już oddawna do szukania innego materyjału. Zpoczątku mniemano, iż słoma przyda się na surogat, lecz wkrótce okazała się ona wcale nieużyteczną, zwłaszcza do fabrykacyi na większą stopę. Teraz jeden z uczonych tutejszych, Dr. Oszac, znany z swoich jenijalnych postrzeżeń mikroskopijnych, znalazł takowy materyjał w drzewie, i doszedł do tak pomyślnych rezultatów, iż w połączeniu z pewnym chemikiem, wziął już patent na swój wynalazek. Mianowicie powiodło mu się rozłożyć drzewo w jego pierwotne włókna, nająć tym włóknom kruchości, i utworzyć w ten sposób masę papiérową, przemieniającą się za kilką uderzeniami młotkiem w nadzwyczajnie mocny, a osobliwie gładki papiér, który tę swoję asbestową czyli jedwabistą gładkość, nawet po wielokrotném mięciu, nie traci. Taniość materyjału i fabrykacyi każą się nadmiar nizkiéj ceny wyrobu spodziéwać, którato cena przy dalszém wydoskonaleniu przyrządzania, zapewne jeszcze znacznie się zniży, przezco zważywszy znamienite skutki, jakie tani papiér na rozszerzenie druków wywrzéć powinien, również i temu wynalazkowi, jak bawełnie strzelniczéj, nazwę wynalazku demokratycznego przyznać należy.«

Galeryja pięknych kobiét. Chwalony portrecista F. Lasting z Dublina, wybrał się w podróż artystyczną po świecie, któréj celem jest szukać wszędzie najpiękniejsze kobiéty, i malować ich portrety w miniaturze. Po odbytéj podróży, zamyśla p. Lasting wszystkie swoje obrazki, w większym rozmiarze olejno wykonać, i jako jedynę w swoim rodzaju panoramę, na widok publiczny wystawić. Co za tryjumf dla najpiękniejszéj!

Kawaler legii honorowéj. »*Constitutionnel*« donosi: Królik wyspy Taiti, który niedawno krzyż legii honorowéj otrzymał, trudni się sam praniem bielizny oficerów francuzkich, biorąc po 5 franków od tuzina; mydło płaci się osobno; za szkodę się nie ręczy.

Kroniki domowe. Jestto osobliwszém zjawiskiem, iż rodziny nieszlacheckie, bynajmniéj o swoich przodków się nie troszczą. Ztąd większa część takich rodzin zaledwie do pradziada swojém genealogiczném drzewem z niejaką pewnością zasiągnąć może. Ta obojętność na wspomnienia rodzinne zdaje się miéć w tém swój powód, iż przeważająca ilość rodzin nie-szlachty, nie bierze tak żywego udziału w sprawach publicznych, jak to się dzieje u szlachty, któréj członkowie wyłącznie prawie są narzędziami wypadków historycznych, i największą część wieńców chwały odnoszą. Otoż zamyślono w Zjednoczonych Stanach północnéj Ameryki, wezwać wszystkich ojców rodzin, osobliwie tych, którzy w nowszych kolonijach zamieszkali, do ciągłego spisywania zdarzeń spółczesnych w stałych kronikach domowych; przezco nie tylko miłość do rodzinnego kraju się wzmaga, ale także szacowny zbiór kronik na przyszłość mógłby urość, zkądby przyszli dziejopisarze nieprzebrane mnóstwo wiadomości czerpać mogli.

Dobra rada. Londyński dziennik »*Punch*« radzi nieszczęśliwym wyrobnikom fabrycznym, którzy z braku zatrudnienia w najwyższéj nędzy żyją, aby się poczernili i za Murzynów wydali; w takim razie mogą być pewnymi wsparcia od rządu; na biało nie wyglądają oni dość rozrzewniająco!

Nowa prasa drukarska. W Londynie wynaleziono nową prasę parową do skoro-druku, która, jak twierdzą, 12.000 egzemplarzy dziennika największego formatu, w jednéj godzinie drukuje, podczas gdy dotychczasowe prasy londyńskie najwięcéj po 5000 egzemplarzy w godzinie tłoczyły. Wynalazcą téj nowéj machiny jest pan Little, wydawca pisma »*Illustrated London News*.«

Tymczasowe groby. Niejaki Dr. Kuczbach ogłosił w niemieckich pismach czasowych rozprawę pod napisem: »Tylko w grobach a nie w trupiarniach przebudzają się umarli« — i dowodzi w téj rozprawie, iż siła, przyczyniająca się głównie do wskrzeszania umarłych, z wnętrza saméjże ziemi wynika; poczém wnosi autor: aby urządzono »tymczasowe groby,« któreby z trupiarnią w połączeniu zostawały, i za danym przez odżyłego nieboszczyka znakiem, każdéj chwili otworzone być mogły. Chodzi więc teraz tylko o »tymczasowych nieboszczyków.«

Zdanie o Kalkucie. Sir John Malcolm oprowadzał posła perskiego po Kalkucie, i zapytał go wreszcie, jak mu się to »miasto pałaców« podoba? — »Jestto przepyszne miasto do — zrabowania!« — odrzekł ambasador.

Wzór cichego pożycia małżeńskiego. W piérwszych dniach listopada r. z. odbyły się w Toruniu osobliwsze zaślubiny. Pan młody i panna młoda byli oboje głucho-niemi. Dla zasiągnienia zezwalającéj odpowiedzi państwa młodych, musiał obrzędujący kapłan wejść w pisemną z nimi korespondencyję. — Szczęść Boże najcichszemu na świecie stadłu!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.